



Janusz Ryl-Krystianowski
fot. rodzinne archiwum Ryl-Krystianowskich

Kiedy Janusz Ryl-Krystianowski umarł, panowała pandemia. Rok 2020. Od siedmiu miesięcy walczyliśmy z koronawirusem, słowo covid ciągle wywoływało strach; jedni niecierpliwie wypatrywali szczepionki, inni twierdzili, że to spisek rządów, firm farmaceutycznych i najbogatszych ludzi świata – podzieliliśmy się na tych, którzy próbowali zrozumieć chorobę, i tych, którzy zaprzeczali jej istnieniu. Niezależnie jednak od tego, kto w co wierzył, we wszystkich krajach zapadały podobne decyzje – o izolacji, kwarantannach, kolejnych lockdownach, liczbie osób mogących brać udział w różnych uroczystościach, w tym ślubach i pogrzebach. Chorych, przebywających w szpitalach, odseparowywano od rodzin, to samo dotyczyło hospicjów. Ludzie umierali w samotności. Czasami ze ścisłym w rękę telefonem komórkowym lub tabletem, dzięki któremu mogli zobaczyć po raz ostatni swoich najbliższych.

Najbliżsi Janusza odwiedzali go pojedynczo – inaczej nie było to możliwe. Każdy więc żegnał się z nim w innym czasie, a właściwie nie żegnał, bo chociaż jego stan był zły, coraz gorszy, to jednak nikt nie dopuszczał myśli, że więcej z nim się nie zobaczy. Przebywał w hospicjum. Wymagał stałej, specjalistycznej opieki. Otaczały go myśli tych, którzy go kochali, i tych, dla których był ważny, ale odszedł – jak to najczęściej bywa – jednak niespodziewanie, bez dotyku czyjejkolwiek ręki, bez ostatniego spojrzenia, bez słowa, w ciszy.

Tak naprawdę zawsze odchodzi się w samotności. Niezależnie od tego, czy w domu, czy gdzie indziej...

Pandemia dalej sterowała życiem: pogrzeb trzeba było przełożyć, bo najbliższa rodzina Janusza zachorowała na covid. A potem okazało się, że liczba osób towarzyszących mu w tej ostatniej drodze musi być mocno ograniczona. Była więc i tu cisza, listopadowa – taka, kiedy już nawet opadające liście nie szeleszczą. 5 listopada, po 21 dniach od śmierci, spoczął na Cmentarzu Jeżyckim, jednym z najpiękniejszych w Poznaniu, pochowany wśród starych nagrobków i pochylonych aniołów, pamiętających początki XX wieku. Ktoś coś powiedział, ktoś przeczytał list od kogoś... To wszystko. Księga się zamknęła. Świeciło wtedy słońce. Wśród pochmurnych dni właśnie ten jeden był pogodny. Taki prezent na koniec.

Poznałam go dzięki telewizji. W 1994 roku zaczęłam pracować w poznańskim oddziale TVP; realizowałam tu między innymi magazyn kulturalny „Afiś”, reportaże i filmy dokumentalne opowiadające o wydarzeniach kulturalnych i ludziach sztuki, prowadziłam rozmowy w studiu i dyskusje – bywałam więc na premierach, wernisażach, koncertach, spotkaniach literackich. Wiadomo: „pani od kultury” musiała pojawiać się wszędzie... I zapewne przy okazji tego „pojawiania się” zostaliśmy sobie gdzieś przedstawieni. Niekoniecznie w Teatrze Animacji, bo Janusz bywał nie tylko w swoim teatrze.

A potem zaczęłam regularnie przyjeżdżać z ekipą telewizyjną na jego próby. Lubiłam patrzeć, jak pracuje, jak buduje scenę po scenie, zastanawia się nad detalami, nad światłem, jak przygląda się aktorskim propozycjom. Lubiłam rozmawiać z nim o teatralnych sensach i bezsensach, o jego teatrze. Z tych spotkań zrodziła się przyjaźń. Nie, nie bywaliśmy u siebie i nie zwierzałyśmy się sobie z prywatnych problemów. To była raczej przyjaźń zawodowa, tak to nazwijmy. Ale – oczywiście – zdarzało się i niezawodowo opowiadać o tym i owym, jeśli akurat trafiło się na „odpowiedni czas”, zbieg przypadków, moment. Pewnego razu, w 1997 roku – to akurat pamiętam dokładnie, bo zaczynałam pracę w jedynkowym „Pegazie” – podarował mi miniaturową podkówkę, którą nosił w portfelu przez wiele lat, jak wyznał, wierząc w jej magiczną siłę. Powiedział: „Dla ciebie, na szczęście – tobie teraz bardziej się przyda” – zamknął ją w mojej dłoni i poprosił, żebym dała znać, jak sobie radzę... Jakoś więc blisko toczyła się ta nasza znajomość, serdecznie, choć ostatnie lata przeminęły w oddaleniu. On odszedł z teatru, ja z telewizji, mniej było pretekstów do spotkań.

Nie mieszkałam w Poznaniu, kiedy tu się pojawił w 1989 roku ani kiedy zamienił Teatr Lalki i Aktora w Teatr Animacji kilka miesięcy później (marzec 1990) i – prawdę mówiąc, do tego 1994 roku, kiedy się spotkaliśmy, w ogóle niewiele wiedziałam o teatrze lalkowym, bo w mieście, z którego pochodzę, takiego teatru po prostu nie było, a w czasie studiów na Uniwersytecie Adama Mickiewicza scena dla dzieci zupełnie mnie nie interesowała. Zresztą to był akurat najgorszy czas w jej historii: czas po odejściu Leokadii Serafinowicz i Wojciecha Wieczorkiewicza, spadanie z wyżyn na sam dół w ogólnopolskich rankingach.

Tak, poznać musieliśmy się w 1994 roku... Może jednak nie w foyer teatralnym, jak mi się wcześniej wydawało, tylko w studiu telewizyjnym przy jakiejś debacie o kulturze? Nie pamiętam, nie zapisałam tego w swoich notatkach z tamtego czasu. Na pewno jednak pierwszy felieton z Teatru Animacji zrealizowałam w 1995 roku, przy okazji wystawy scenografii przygotowanej na 50-lecie tej sceny; chwilę później stał się on punktem wyjścia dla filmu dokumentalnego *Pięć opowieści o lalkach* (prem. 15.07.1996, TVP Poznań). Potem były kolejne felietony

do „Afisza”, spotkania w programach publicystycznych, reportaże z prób do *Burzy* i *Króla Mięsożerca* – bardzo ważnych dla Janusza przedstawień...

W 2014 roku przeszedł na emeryturę i zaszył się w Lusowie, dokąd się przeprowadził w 2011 roku. Stamtąd od czasu do czasu wyjeżdżał do teatrów gdzieś w Polsce, by nadal reżyserować. W Poznaniu trudno go było już spotkać. A „gdzieś w Polsce” powstawały kolejne piękne spektakle – przemyślane i mądre, choć nie zawsze był z nich w pełni zadowolony, jak czytałam w wywiadach. Poprzeczkę zawsze stawiał wysoko... Może za wysoko? Teatrowi podporządkował całe swoje życie. I tak był na nim skupiony, tak wierzył, że zgromadził wokół podobnych do siebie ludzi, że nie zauważył zmian, ewolucji, tego, że jego świat od pewnego momentu stał się archaiczny. Może uważność osłabiła choroba, z którą zmagał się od początku pobytu w Poznaniu?

Choroba... Atakowała go kilka razy. Po raz pierwszy jeszcze w Jeleniej Górze, w 1989 roku. Pod koniec 2010 roku stracił głos i odtąd szeptał – jak przy infekcji górnych dróg oddechowych. Nie zwierzał się ze swoich problemów. Na próbach korzystał z mikrofonu. Wszyscy szybko przyzwyczaili się do takiej komunikacji. Ale to nie było zapalenie gardła czy nadwężenie strun głosowych; po wielu badaniach okazało się, że to kolejny powrót raka. Postanowił poddać się operacji, choć to oznaczało usunięcie krtani. Był rok 2019. Premierę, do której przygotowywał się w Szczecinie, przekazał Annie Rozmianiec, współpracującej z nim od dziesięciu lat... Operacja się udała, komplikacje pojawiły się później: infekcja, niedrożność żył, udar, paraliż. Zmarł 15 października 2020 roku. W środku pandemii. Kiedy świat funkcjonował inaczej.

Dziś Teatrem Animacji kieruje Piotr Klimek, drugi już dyrektor po Januszu Ryl-Krystianowskim, w zespole pojawili się nowi aktorzy, młodzi – większość z nich pewnie nie widziała spektakli twórcy tej sceny. Czas robi swoje: część wspomnień wzmacnia, część wypiera i choć ochoczo powtarzamy, że przeszłość jest ważna, że ona nas buduje, to przecież tak naprawdę nie mamy kiedy oglądać się za siebie, próbując nadążyć za teraźniejszością. A już na pewno nie roztrząsamy, ile w obecnym teatrze formy jest tego, co wprowadził właśnie Ryl-Krystianowski. Mimo że jego teatr to zjawisko osobne, trwale zapisane w historii i należy je ustawiać zaraz obok „teatru Leokadii Serafinowicz”, „Jana Wilkonia”, „Jana Dormana”, „Marii i Władysława Jareńców”, „Henryka Ryla”, „Wiesława Hejno”, „Zdzisława Smandzika” czy „Krzysztofa Raua”... Wszystko jest kwestią przyjętej perspektywy i miejsca na osi zdarzeń. Prawda jest taka, że dziś żaden z tych teatrów nie znalazłby już tak wielu zwolenników jak kiedyś. Ale – jednak! – poza dyskusją pozostaje wartość ich dokonań. Także i tych Janusza Ryl-Krystianowskiego. Tak, dzisiejszy teatr formy wiele zawdzięcza przeszłości, choć być może nie w pełni zdaje sobie z tego sprawę. No, ale każde pokolenie myśli, że świat zaczął się od niego... Prawo natury.

Wydawało się, że nie ma prostszej historii do opowiedzenia, bo przecież to miała być opowieść o człowieku, który konsekwentnie wcielał w życie swoją ideę teatru animacji: za pierwszym razem – w Jeleniej Górze – nieco z nią eksperymentował, sprawdzał, poprawiał, uzupełniał i święcił triumfy, za drugim – w Poznaniu – już ją ugruntowywał, poszerzał, potwierdzał słuszność tego swojego myślenia, że podstawą współczesnego spektaklu lalkowego jest „cud ożywianej materii” i aktor, który tego cudu dokonuje...

Miała to być po prostu opowieść o człowieku zakochanym w teatrze, zbudowana ze wspomnień tych, z którymi pracował, obok których żył. Ale tak się nie stało... bo jedni umarli, drudzy zamilkli, trzeci nie chcieli nic mówić, inni nie potrafili już uruchomić własnych wspomnień... Pozostali więc nieliczni – ci, którzy chcieli i czuli, że powinni to zrobić. Żeby pamięć nie zginęła...

Z każdą rozmową odkrywałam mojego bohatera na nowo, weryfikowałam prawdę, którą o nim gromadziłam przez lata znajomości. Nie po raz pierwszy przekonałam się, że człowiek ma wiele twarzy, a każdy, kto o nim opowiada, nosi w sobie inny jego portret – wszystko zależy od łączących ich relacji, okoliczności spotkań, oczekiwań, tysiąca zdarzeń towarzyszących, czasu, miejsca, a nawet interpretacji tego, co się widziało i w czym uczestniczyło. Każdy „czyta” drugiego człowieka inaczej, inaczej go zapamiętuje. Portret zawsze więc pozostaje fragmentaryczny i subiektywny, żadna historia nie jest zero-jedynkowa, o nikim nie da się powiedzieć, że był tylko dobry lub tylko zły, kolory nas otaczające to cała paleta barw, a świat budują emocje. Banalna prawda.

Janusz Ryl-Krystianowski był nie tylko dyrektorem teatrów przez ponad trzydzieści lat, nie tylko reżyserem (twórcą blisko stu spektakli) czy dramaturgiem (pisywał pod pseudonimem Maria Joterka), ale też... człowiekiem, który śmiał się, kochał, rozpalał ogniska na letniej działce gdzieś pod Inowrocławiem, bawił się z dziećmi, grał na gitarze piosenki do gromadnego śpiewania, a na pianinie standardy jazzowe, czasami pił wódkę z przyjaciółmi, czasami się gubił i mylił.

Mam nadzieję, że to, co udało się zebrać w tej książce, zadziała jak pierwszy kamyczek w jakiejś lawinie: że sprowokuje inne wspomnienia – także te nieopowiedziane i niedopowiedziane. Różne. Niech przeszłość powróci choćby w prywatnych rozmowach; jeśli kiedyś było gorzko, gorycz z czasem mija, jeśli było słodko, ten smak też w końcu się neutralizuje. Mówi się, że z oddalenia lepiej można dostrzec to, co było najważniejsze. Czy oddalenie czasowe też tak działa? Może...

Byliśmy z Januszem na ty – i niech tak zostanie...